

Fragment darmowy udostępniony
przez Wydawnictwo w celach promocyjnych.

EGZEMPLARZ NIE DO SPRZEDAŻY!

Wszelkie prawa należą do:
Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
Warszawa 2024

www.zielonasowa.pl

**GDZIE
SŁYCHAĆ
SZEPTY**



Tytuł oryginału: Bittersweet in the Hollow

Przekład: Monika Orent

Redaktor prowadząca: Agata Tondera

Korekta: Dagmara Powolny,

korekta w programie firmy Lingventa

Skład: Monika Nowicka

Ilustracje w środku: Koba Anastasia, Mariia Kutuzova, Anna Holyph/Shutterstock.com

First published in the United States of America by G. P. Putnam's Sons,

an imprint of Penguin Random House LLC, 2023

Copyright © 2023 by Kate Pearsall

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.,

Warszawa 2024

All rights reserved

Wszystkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów
książki możliwe są tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I

ISBN 978-83-8299-535-0

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.

00-807 Warszawa, Al. Jerozolimskie 94

tel. 22 379 85 50, fax 22 379 85 51

wydawnictwo@books4ya.pl



*Kate
Pearsall*

**GDZIE
SŁYCHAĆ
SZEPTY**

LYA

Dla Aty

*I każdego, komu kiedykolwiek
zdarzyło się wierzyć,
że czuje zbyt dużo lub zbyt głęboko.*



Czerwiec

Truskawkowy Księżyc

Czerwcową pełnię Księżycza nastaje, gdy dojrzewają truskawki. W taką noc emocje sięgają zenitu, a letnie upały przynoszą niespożytą energię, która wzmacnia naszą intuicję. Należy wystrzegać się wybuchowych temperamentów, niepotrzebnego ryzyka, płomiennej namiętności i starannie uknutej podstęp. To idealny czas na rzucanie zaklęć związanych z ochroną, siłą, podejmowaniem decyzji, miłością i płodnością.

Rośliny sezonowe

Ogród: szparagi, buraki, brokuły, kapusta, marchew, wiśnie, warzywa liściaste, zielone cebulki, zioła, groszek, rzodkiewka, rabarbar, truskawki i słodka papryka

Okoliczne tereny: poziomki, owoce świdosiwy (zbierać z drzew na szczycie góry, by uniknąć robactwa), pokrzywa, mniszek lekarski, żółciak siarkowy, dzika marchew, strzałka szerokolistna, grązel żółty

Ochronna lina z pokrzyw

Podczas pełni Księżycza skręć długie włókna pokrzyw w przędzę, a następnie spleć trzy stworzone nici, by uformować z nich linę. Zawiąż linę na kłamce, by ochronić jakieś miejsce, lub na nadgarstku, by ochronić człowieka. Gdy zagrożenie minie, spal linę lub odpędź za jej pomocą kolejne niebezpieczeństwa.

Misa z piwem pozostawiona w ogrodzie pozwala pozbyć się ślimaków. Jednak, jak się ostatnio okazało, przyciąga też najstarszego syna z rodziny mieszkającej na wzgórzu. Umieszczenie w misie ślimaka przed jej wystawieniem zdaje się działać – tak wnoszę po odgłosach dławienia i spluwania, jakie dało się słyszeć zeszłej nocy.



ROZDZIAŁ PIERWSZY

To wiem na pewno: żeliwne rondle trzeba smarować smalcem; przetwory najlepiej robić, gdy Księżyc jest w fazie ubywającej; a głęboko skrywane sekrety zawsze wychodzą na jaw.

Usadawiam się przed wbudowanym w okno wentylatorem i unoszę rąbek koszuli tak, żeby powietrze muskało mi skórę. Harvest Moon to stary młyn zbożowy, a jego grube wapienne ściany zapewniają miły chłód. Tylko że przez sześć dni w tygodniu serwujemy śniadania i lunche, a gdy w kuchni praca wre, nie sposób uciec przed gorącem.

Babcia wpatruje się we mnie z drugiego końca niewielkiej kuchni, gdzie przygotowuje jedzenie na jutrzejszy festiwal. Zręcznie manewruje nożem w porcji wieprzowych żeberek, którą dostała w podzięcie za wyleczenie dziecka Thompsonów z kolki. Przebija się przez kości i rozbiera mięso kawałek po kawałku; tnie bez przerwy, bez zawahania, nawet gdy wzrok ma

skupiony na mnie. Kawałki mięsa wrzuca do miski z pikantną marynatą według jej sekretnego przepisu, a kości na rosół układa na blasze. Nic się nie marnuje.

Razem z siostrami dorastałyśmy w tej kuchni, pośród stołów ze stali nierdzewnej, białych ścian i delikatnej woni wybielacza. Dlatego wiem, co chodzi babci po głowie. Takie tkwienie przy wiatraku może zostać odebrane jako nieróbstwo, którego babcia nie toleruje, nawet w czerwcu, gdy temperatura w cieniu przekracza już trzydzieści stopni.

Po karku spływa mi kropelka potu. To przez wilgoć, która od tygodni utrzymuje się u podnóża gór. Kiedyś czytałam, że istnieje pewna korelacja między wzrostem temperatury i brutalności. Podobno najgorętsze lata budzą w ludziach największą agresję. Nie wiem, czy to prawda, ale nawet teraz, gdy powietrze jest tak gęste i ciężkie, emocje zdają się gotować we wszystkich.

Na tyłach kuchni Aster, moja starsza o jedenaście miesięcy siostra, podnosi metalową rączkę przemysłowej zmywarki do naczyń i uwalnia kłęby pary, która przykleja jej ciemne włosy do ładnej twarzyczki. Wszystkie cztery mamy ciemne włosy, błękitne oczy i pełne, różowe usta, ale to właśnie Aster ma najciemniejsze, najbłękitniejsze i najpełniejsze. Jednak swoje piękno traktuje jak zbroję, która nie pozwala innym zanosić się do niej zbliżyć. Jest jak róża z kolcami.

Kiedy sięga, by odstawić szklanki na wysoką półkę, jej uniesiona koszulka odsłania kilka linii czarnego

tuszu, które wiją się i pełzają wzdłuż biodra. Po tym, jak mama odkryła u Aster wytatuowanego węża, na całe lato przeniosła ją na zmywak. I chociaż chętnie uniknęłabym wychodzenia na salę restauracyjną, nie zazdroszczę jej. Zmywak to najgorętsza robota w kuchni.

Rosa, nasza najstarsza siostra, przechodzi przez wahałkowe drzwi, trzymając na ramieniu tacę zastawioną brudnymi naczyniami. Mija mnie spiesźnie i pędzi w kierunku zmywaka. Aster, która w tym momencie słyszy tylko dudnienie programu mycia pod wysokim ciśnieniem, nagle się odwraca i wpada prosto na siostrę. Talerze i szklanki obijają się o siebie z brzękiem, a ja obserwuję całą akcję w oczekiwaniu, aż wszystko runie na ziemię. Jakimś cudem jednak Rosa w ostatniej chwili opanowuje sytuację.

Kiedy wydaje z siebie powolne westchnienie ulgi, nóż do steków balansujący na krawędzi tacy nagle spada. Z ostrym dźwiękiem giba się czubkiem w deski podłogowe i giba na boki.

– Nóż na ziemi – ostrzega mama, która zawiesza na moment ząbkowane ostrze swojego noża nad zieloną skórką pomidora.

– Będą kłopoty. – Babcia kończy starą ludową mądrość i spogląda przez okno.

Niebo ma niezdrowy odcień zieleni, a nad górami kłębią się burzowe chmury.

Być może brzmi to jak bzdurne zabobony, ale to prawdziwe dziedzictwo rodziny Jamesów. Odkąd pamiętam,

wieczorami na długo po tym, gdy ostatni klient opuszczał restaurację, pisałyśmy swoje życzenia białym atramentem na liściach laurowych, a potem zgniatałyśmy je w palcach i wypuszczałyśmy na wiatr, czekając, aż powietrze wypełni się ich gorzkim aromatem. Uczyłyśmy się specjalnych słów, których nigdy nie wolno nam było zapisać, tylko należało je wypowiedzieć szeptem na jednym oddechu. Obserwowałyśmy, jak babcia, mrucząc pod nosem tych kilka wyrazów, sprawiała, że oparzenia od gorących patelni znikają z naszych ciał, pozostawiając po sobie nienaruszoną skórę.

– Uważaj – przebąkuje Rosa, nachylając się, by taca ześlizgnęła się na blat z jej ramienia. Później spogląda na mnie. – Dzięki, że po prostu tam stoisz, Tilio. Jak zwykle. – Jej uwaga jest jak ukąszenie osy. Zanim zdążę poczuć żądło, Rosa już się odwraca.

Zawsze byliśmy blisko. Cztery siostry urodzone rok po roku. Po prostu nie mogło być inaczej. Ale teraz, gdy Rosa wróciła z college'u, wszystko wydaje się inne. To pierwsza z dziewczyn Jamesów, która stąd wyjechała. Chyba nie pasuje już do świata, jaki za sobą zostawiła.

Mama wyciera ręce w ścierkę wepchniętą za pasek fartuszka, którym obwiązała się w talii, i stawia dwa ostatnie talerze na dużej tacy.

– Zamówienie gotowe – mówi, ruchem głowy wskazując mi salę restauracyjną.

Żadne życzenia na liściach laurowych nie pomogą mi wymigać się od pracy. Jeszcze raz rzucam okiem na nóż

wbity w podłogę i przeciskając się obok Rosy, wychodzę z kuchni.

Gdy docieram do swojego stolika, stawiam tacę na stojaku, a potem zsuwam każdy talerz i kładę go przed odpowiednim gościem. Kanapka ze smażonymi zielonymi pomidorami dla pana z brodą; bułeczki maślane polane sosem z kiełbasą dla młodszego mężczyzny z niewielką dziurą w kołnierzyku; miodowy kurczak z patelni i zupa z fasoli pinto dla kobiety w okularach; i hot dog z sałatką coleslaw dla małego chłopca, który nieustannie wyciera nos w rękaw.

– Proszę powiedzieć, gdyby potrzebowali państwo czegoś jeszcze – rzucam, kładąc dodatkowe serwetki obok chłopczyka, a goście zabierają się do jedzenia.

Kiedy sięgam po pustą tacę, po moim języku rozchodzi się słodko-ostry smak kandyzowanych papryczek jalapeño, które babcia przyrządza zawsze pod koniec lata. Ze zdziwieniem podnoszę głowę i widzę, jak pod nieuwagę pana z brodą młodszego mężczyzna zerka na kobietę siedzącą przy tym samym stoliku.

Kieruję się do kuchni, bo nie chcę odkrywać cudzych sekretów, ale nagle na kogoś wpadam. Z impetem. Krawędź tacy uderza mnie w brodę, przez co gryzę się w język. Tracę równowagę i potykam się o własne nogi. Już mam przewrócić się na oczach wszystkich, gdy ktoś wyciąga dłoń i łapie mnie za ramię. Mój wzrok wędruje wzdłuż silnej ręki aż do zbyt doskonałej twarzy i ostatecznie tylko przewraca mi się w żołądku.

Cole Spencer. Złoty chłopak naszego miasteczka, przynajmniej według plotek, które codziennie krążą po restauracji. Prymus, przewodniczący klasy, gwiazda futbolu, innymi słowy – wysoki na sto osiemdziesiąt centymetrów boży dar dla Caball Hollow, zapakowany w mięśnie i promienną skórę. Jego musnięte słońcem włosy równie dobrze mogłyby być jakąś cholerną aureolą.

Puszcza mnie i wkłada ręce do kieszeni.

– Patrz, gdzie idziesz, James.

J a m e s. Zupełnie jakby nie odróżniał mnie od moich siostr. Jakbyśmy nigdy nie byli blisko. Jakby nic się nie wydarzyło.

Przez ostatni rok nie bywał tu zbyt często, ale słyszałam, że pomaga przy obozie futbolowym, a po nim tradycyjnie przychodzi się do Harvest Moon. To Cole zapoczątkował ten zwyczaj jeszcze za czasów, gdy nasi ojcowie między zmianami okupowali stolik na rogu. Za czasów, gdy wszystko było inaczej.

– Wybacz. – Niespiesznie kiwam głową i kąśliwie dodaję: – Nie wszyscy potrafią latać nad ziemią na anielskich skrzydłach.

Kąciaki jego oczu się zwężają, a całe ciało napina się pod znoszoną szarą koszulką. Gdybym nie spodziewała się tej subtelnej reakcji, pewnie bym jej nie dostrzegła. Rodzina Spencerów cieszy się sporym poważaniem w całym miasteczku, ale Cole nigdy nie czuł się komfortowo z tą adoracją i presją zachowywania pozorów. Spencerowie bowiem też mają sekrety.

Moje drobne zwycięstwo nie trwa jednak zbyt długo, bo usta wypełnia mi smak dzikiego czosnku, ostry i gryzący, przesycony strachem i obrzydzeniem. Od ruchowo marszcząc nos i z trudem przełykam ten atak, staram się odepchnąć uczucia, które nie należą do mnie. Uczucia, które gdy tylko stracę czujność, wsiąkają we mnie tak, że aż jestem nimi przesycona.

Nie dość, że mimowolnie poznaję czyjeś najskrytsze uczucia, to jeszcze coś tak dosadnie przypomina mi, jak bardzo inaczej postrzega mnie teraz Cole. I że ma do tego prawo.

– Siadamy tu czy...? – Bryson Ivers, kopacz drużyny futbolowej i osobisty cień Cole’a, przewiesza rękę przez ramię Spencera i gestem wskazuje wolny stolik w pobliżu drzwi. Płoszy mnie jego nagłe nadejście. – O, przepraszam, nie chciałem przeszkadzać w... – macha do mnie – w czymkolwiek, co się tu dzieje.

Gdy Cole znów wbija we mnie miodowe oczy, czuję ciepło na policzkach i zaciskam palce na tacy. Jest coś w wyrazie jego twarzy, ale znika zbyt szybko, bym mogła to nazwać. Zaraz potem Spencer uśmiecha się w samozadowoleniu i dociera do mnie, jak długo się w niego wpatrywałam. Mrugam i odwracam wzrok.

– Co to było? – pyta Bryson, ciągnąc Cole’a w kierunku stolika. Albo nie zdaje sobie sprawy z tego, że nadal jestem tak blisko, by to słyszeć, albo go to nie obchodzi.

– Wiesz, jaka ona jest. – Cole lekko wzrusza ramionami. Zniża głos na tyle, że nie słyszę, co mówi dalej,

ale w odpowiedzi Bryson odchyła głowę i zanosi się śmiechem.

Wchodzę do kuchni przez wahadłowe drzwi. Czuję w ustach gorzki smak korzenia cykorii. Jestem pewna, że Cole zapomni o mnie, gdy tylko skończy lunch, tymczasem ja będę jeszcze długo wracać myślami do tej chwili i wkurzać się na siebie, że pozwoliłam, by znów zagościł w moim umyśle.

– Co jest? – pyta Aster, gdy przechodzę na tyły kuchni.

– Nie mogę wziąć nowego stolika – wyszeptuję od razu, zerkając na mamę i babcię. – Roso, zrobisz to?

– Moja sekcja jest załadowana po brzegi, Tilio. – Nawet nie podnosi wzroku znad tacy, którą przygotowuje do wydania. – Mam dość problemów ze swoimi stolikami.

– Kto cię tak wpienił? – Aster opiera się biodrem o blat tuż obok Rosy i krzyżuje ręce. – Wiesz, że Tilia by to dla ciebie zrobiła.

Rosa parska z irytacją i odwraca się do mnie plecami.

– Nie zawsze będzie ktoś, kto stoczy batalie za ciebie, Tilio. Im szybciej się tego nauczysz, tym lepiej. – Rzuca Aster ponure spojrzenie. – W ten sposób jej pomogę. – Wpycha notes do przedniej kieszeni fartucha, nachyla się do mnie i szepcze tak, żebym tylko ja mogła ją usłyszeć: – Boże, dorośnij wreszcie.

Spuszczam wzrok i przyglądam się swoim dłoniom.

– Chodzi o Cole'a – mówię cicho, a słowa więzną mi w gardle. Nienawidzę faktu, że nawet po takim czasie nadal mnie to rusza.

Aster wzdycha i odsuwa się od blatu. Ściąga brudny fartuch, zupełnie jednolity, taki, który z łatwością można potraktować wybielaczem, po czym wymienia go na ładniejszy, haftowany, czekający na wieszaku przy drzwiach.

Rosa kręci głową.

– Mama powiedziała, że cały miesiąc szorujesz gary. Żadnych stołów i żadnych napiwków – przypomina siostrze. – Wścieknie się, jeśli zaraz nie wrócisz do naczyń.

Spoglądam na mamę, która stoi do nas plecami z telefonem wciśniętym między ucho i ramię i gryzmoli coś w notesie. Pewnie przyjmuje zamówienie albo dopiero składa je u dostawcy. W każdym razie nie zajmie jej to zbyt długo.

Nim zbieram się na odwagę, by zatrzymać Aster, ta już przeciska się obok Rosy i popycha wahadłowe drzwi.

– Zaraz będę – rzuca przez ramię.

Rosa wodzi za nią wzrokiem z zaciśniętymi ustami. Jeszcze przez chwilę zwlekam, a później w ślad za Aster wychodzę z kuchni, jednak zatrzymuję się przy ladzie. Zdążyła już dotrzeć do stolika, przy którym siedzi Cole otoczony znajomymi. Obserwuję ją, jak zapisuje w notesie zamówienia i stanowczo odmawia prośbom Brysona o podmianę składników. W drodze powrotnej do kuchni puszcza do mnie oczko i wręcza mi karteczkę. Jeśli powieszę ją teraz na szynie z zamówieniami, mama nawet się nie połapie.

Już zaczynam się rozluźniać, gdy wtem Harvest Moon zalewa ciemność. Na sali zapada cisza, a niebo spowija czern. Spoglądam przez duże frontowe okno i widzę, jak autobus dalekobieżny włącza światła i odjeżdża z przystanku na rogu. Letnie burze w Caball Hollow potrafią być potężne i gwałtowne, ale ta nadciągająca wyjątkowo szybko.

Poryw wiatru otwiera drzwi frontowe z takim impetem, że uderzają w ścianę. Unoszę rękę, by ochronić się przed naporem kurzu i pyłu, który wdziera się do środka wraz z powiewem pachnącym słodkimi kwiatami złotogłowu i pieprzem. Zaraz wiatr cichnie i drzwi się zamykają.

Kiedy otwieram oczy, z drugiej strony lady spogląda na mnie twarz, której nie widziałam od dawna.

– Dalia – cedzę, mimo że zaschło mi w gardle. – Nie wiedziałam, że wróciłaś.

Dalia Calhoun ukończyła szkołę razem z Rosą, później wyjechała do college'u w mieście, nie oglądając się za siebie. Kiedyś byliśmy przyjaciółkami. Nawet mnie wydawało się to zaskakujące, bo Dalia zawsze była wygadana i lubiana, ja natomiast dziwna i cicha. Teraz z trudem ją rozpoznałam. Jej włosy, kiedyś w kolorze mysiego futerka, teraz są zupełnie czerwone, wyglądają, jakby wylały się z butelki wiśniowego soku.

– Cześć, Tilio. – Dalia wychyla się nad laminowany blat i na moment mnie obejmuje. Czuję, jak po moim podniebieniu rozchodzi się orzeźwiający smak

cytryny. – Wiesz, jak to działa. Obecna Królowa Ciem musi ukoronować przyszłą, więc jestem. – Wzrusza ramionami, ale oczy jej błyszczą. – Wystartujesz na królową, prawda?

Każdego roku podczas Festiwalu Ciem dziewczęta z ostatnich klas zgłaszają projekty, którymi oddają cześć Caball Hollow. Mają nadzieję, że to pozwoli im uzyskać tytuł Królowej Ciem i zdobyć stypendium w college'u. Dalia w ramach projektu stworzyła podcast o legendarnym człowieku-ćmie, który stał się inspiracją dla całego festiwalu. Teraz studiuje dziennikarstwo telewizyjne i radiowe, i nic w tym dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę jej głos, przydymiony i maślany jak miód z kwaśnodrzewu, i jej niekończący się arsenał pytań. Ale pomysł, że-bym ja została Królową Ciem, jest śmiechu wart z wielu powodów.

– To chyba nie jest dobry pomysł – wykręcam się.

– Żartujesz? Twój bank przepisów na pewno wygra. Moja babcia była zachwycona, gdy chciałaś poznać jej stare receptury. Zanim odeszła, często wspominała czas, który z tobą spędziła.

Zawsze lubiłam piec i gotować, więc z początku z czystej ciekawości prosiłam starszych sąsiadów, by zdradzili mi rodzinne przepisy. Okazało się, że ulubione potrawy nierzadko zawierają tyle wspomnień, co składników.

Widziałam, że ludzi cieszy dzielenie się wiedzą z kimś, kto chce ich słuchać.

Babcia Dalii, Parlee Wilkerson, zgodziła się nauczyć mnie przyrządzać jej słynny chleb bez drożdży. Kiedyś było to tradycyjne pieczywo Caball Hollow, a liczba istniejących przepisów dorównywała niemal liczbie rodzin zamieszkujących tę okolicę. Teraz jednak niewiele osobom wystarcza czasu i chęci, by przyrządzać tak pracochłonne wypieki. Dalia mieszkała wtedy z babcią i poznałyśmy się właśnie w trakcie tego dwudniowego rytuału pieczenia. Później pani Wilkerson zapraszała mnie jeszcze, by podzielić się kolejnymi przepisami: na placek z octem, którego recepturę udoskonaliła jej cioteczna babka, kluski z jeżynami przyrządzane z resztek ciasta biszkoptowego, które uwielbiała jej mama, i cynamonową szarlotkę skropioną odrobiną domowego bimbru jej męża. Przez cały ten czas zbliżałyśmy się do siebie z Dalią, a nasza przyjaźń związana w kuchni przekroczyła jej próg i przeniosła się do szkoły, a także poza nią.

Ale to było kiedyś. Ciasto na chleb bez drożdży jest niezmiernie kapryśne, a wedle tradycji nieudany bochenek to zwiastun nieszczęścia. Tamtego dnia w kuchni z Dalią i jej babcią pieczywo się udało, ale sama nigdy później nie powtórzyłam tego sukcesu.

– Właściwie już tego nie robię. – Na szyi czuję gorąco, koniuszki palców mam za to lodowate. Jak to możliwe, że tęsknię za czymś i jednocześnie się tego boję? Przenoszę wzrok z Dalii na stolik, przy którym siedzi Cole ze znajomymi. – Od zeszłego lata.

– Och. – Widzę, że wyciąga błędne wnioski, bo ze współczuciem ściąga brwi. – Jeśli obawiasz się, że komiśja weźmie pod uwagę to, co wydarzyło się rok temu, to niepotrzebnie. Wszyscy wiedzą, że to był straszny wypadek.

– Wypadek, właśnie. – Wzruszam ramionami i odwracam wzrok. Raczej skandal.

Gdy znów na siebie spoglądamy, Dalia obdarza mnie pełnym zrozumienia uśmiechem i nachyla się bliżej.

– Naprawdę nic nie pamiętasz?

Całe moje ciało przechodzi dreszcz, zupełnie jakby krew w żyłach zmieniła się w lodowatą wodę; zaciskam powieki. Właśnie dlatego unikam każdego, kto był tam podczas nocy, gdy zaginęłam. Przez ostatnie dwanaście miesięcy próbowałam zapomnieć o tym, jak mało pamiętam, a teraz za sprawą tych kilku słów znów jestem w lesie. Ciemność napiera na mnie jakimś nienaturalnym ciężarem, niewidzialne gałęzie ciągną mnie za włosy i kaleczą mi skórę, gdy biegnę coraz szybciej. I szybciej. Najszybciej, jak potrafię. Moja klatka piersiowa unosi się i opada, a skrawki wspomnień nawet teraz kradną mi oddech. Zdaje się, że Dalia nic nie zauważa.

– Tylko urywki – odpowiadam wreszcie. Przyciskam do czoła trzęsącą się rękę. – Nic się nie klei. Lekarze mówią, że to amnezja pourazowa.

Na zewnątrz rozlega się dźwięk klaksonu i Dalia odwraca się, by spojrzeć w tamtym kierunku.

– Muszę iść, ale jest coś, o czym chcę z tobą porozmawiać. Będziesz jutro na festiwalu, prawda?

Przetykam palący mnie strach i udaje mi się skinąć głową. Dalia uśmiecha się szeroko, ściska moją rękę, a potem rusza w kierunku drzwi. Zatrzymuje się na chwilę, by poklepać Cole’a po ramieniu i pomachać do Brysona z drugiego końca stołu. Drzwi otwiera jej jakiś nieznany mi mężczyzna w koszulce licealnego klubu sportowego Caball Hollow.

Gdy tracę ją z oczu, zmuszam się, by odtworzyć urywki wspomnień z tamtej letniej nocy. Ale to jak odwzorowywanie w myślach kształtu siniaka na podstawie postrzępionych krawędzi wygryzionego przez mole materiału.

Appalachy to jedno z najstarszych gór świata, w zamierzchłych czasach razem ze szkockimi Highlands stanowiły jedno pasmo górskie. To pośród tych gór i dolin zrodziły się żywe legendy i historie. Moja opowiada o dziewczynie, która znika na noc w bezkresie lasu narodowego, o strachu przed nieznanym i o tym, co może kryć się w cieniach najgłębszej ciemności. Ale nie dajcie się zwieść, to niejedyna tajemnica, jaka czai się u podnóża tych pradawnych szczytów.

I choć bardzo chcę zapomnieć, wiem, że czasami tajemnice to nasiona, które tylko czekają na odpowiednie warunki, by wykiełkować. Im głębiej się je zakopie, tym silniejsze wyrosną.



ROZDZIAŁ DRUGI

W samym środku nocy zrzucam z siebie ostatni skrawek skotłowanej pościeli i wbijam wzrok w zawijasy i sęki na drewnianym suficie. Burzowe chmury nie spełniły swojej deszczowej groźby i teraz powietrze jest aż ciężkie od wilgoci. Nawet dom zdaje się uginać pod tym ciężarem.

Na farmie Bittersweet nie ma klimatyzacji. Babcia uważa, że dom jest za stary i zbyt kapryśny na tego typu modernizację, ale podejrzewam, że po prostu nie chce dawać nam żadnej wymówki do przesypiania letnich poranków i migania się od obowiązków domowych.

Przewracam się w poszukiwaniu zimnego miejsca na poduszce, gdy do moich uszu dochodzi rezonujący w oddali dźwięk. Dzwony kościelne. To nie jest porbrzmiewające obowiązkiem wezwanie na niedzielną mszę ani radosna zapowiedź uroczystości ślubnej. Nie, te dzwony oznaczają coś zupełnie innego. Żałośnie i niespiesznie wydzwaniają śmierć.

Kiedy wszystko cichnie, w pokoju da się słyszeć jedynie miarowy oddech mojej młodszej siostry Iris, śpiącej w łóżku obok. Nagłe pukanie do drzwi wejściowych strząsa ze mnie resztki snu. Nocni goście nie są niczym niezwykłym na farmie Bittersweet. Pod koniec dnia, na długo po tym, gdy jedyna sygnalizacja świetlna w miasteczku zaczyna pulsować żółtym światłem, zjawiają się ci, którzy potrzebują naszych wyjątkowych umiejętności.

Przychodzą, gdy niebo przybiera odcień fioletu i atramentu, a blask księżyca oświetla żwirową ścieżkę prowadzącą do starej letniej kuchni za domem. Niektórzy nie śpią od wielu godzin, kołyszą niemowlęta dręczone bólem ucha albo dzieci z gorączką; są zbyt niespokojni, by czekać na poranek. Wreszcie są nawet skłonni dać szansę starym praktykom, które uprawiamy, mimo że z tego powodu patrzą na nas z góry. *Żenująco zacofani*, chichoczą, dopóki nie znajdą się w potrzebie. Wtedy mają nadzieję, że plotki okażą się prawdziwe, że jakimś cudem nasze domowe lekarstwa i szepty będą w stanie zdziałać więcej, niż wydaje się możliwe.

Inni czekają jeszcze dłużej, zwlekają, aż zapadnie głęboka noc, zanim zbiorą się na odwagę, by poprosić o to, czego chcą. To zazwyczaj ci, którzy desperacko czegoś pragną, miłości albo pieniędzy, choć czasem proszą też o coś innego, mrocznego, o zemstę lub krzywdę. O coś, czego nie robimy. Babcia zawsze powtarza, że nie wolno nam używać naszych zdolności, by za dużo wpływać na życie innych. To nasza najważniejsza zasada.

Zwlekam się z łóżka i przemykam schodami w dół, przeskakuję skrzypiący stopień i zatrzymuję się tuż przed zakrętem, który odsłania widok na parter.

– Odetto, przygotuj świece i misę z solą – szepcze babcia do mamy, otwierając drzwi frontowe.

Nie mogę dostrzec mężczyzny stojącego na ganku, więc wychylam się, jak tylko się da, żeby rzucić na niego okiem.

– Przepraszam, że niepokoję wszystkich o takiej porze. – Jego głos przywodzi mi na myśl żwirową ścieżkę, jest suchy i zdarty. – Przez większość popołudnia dryfowała pomiędzy tym a tamtym miejscem. A teraz odeszła.

– Tak mi przykro, Amosie. – Babcia wyciąga rękę, by uścisnąć dłoń mężczyzny.

– Jeśli to nie będzie zbyt duży kłopot, może mogła by pani przyjść i z nią posiedzieć? Wiem, że większość ludzi nie zaprzęta już sobie głowy tymi sprawami, ale Nora znajdowała pocieszenie w starych obrzędach.

Nawet ci, którzy w nic nie wierzą, w obliczu śmierci stają się przesądni, a wówczas przychodzą do babci. Ta błogosławi ciało zmarłego ogniem i solą, by zapewnić mu bezpieczną podróż, tak samo jak wcześniej robiły to jej matka, babka i wszystkie kobiety, które były tu przed nimi. To stary rytuał przywieziony tu przez szkocko-irlandzkich przodków, z czasem zmieniony i dostosowany, a teraz, podobnie jak wiele innych rzeczy, niemal zapomniany.

Mama wychodzi z kuchni na korytarz i wręcza babci torbę z przyborami.

– Przygotuj kurczaka. – Babcia wydaje jej polecenie, po czym kieruje się na zewnątrz. Tak samo jak dba o cudze dusze, dba też o ich żołądki.

Z dworu dochodzi nas dźwięk zapalanego silnika. Reflektory samochodu rysują na tapecie świetlistą smugę, która zaraz potem znika.

Mama odwraca się od okna, przez które chwilę temu wyglądała.

– Herbaty? – pyta łagodnie.

Pokonuję resztę schodów. Mama obejmuje mnie ramieniem i prowadzi do kuchni. Jej grube, kasztanowe włosy zebrane są w luźny kucyk. Pachnie mydłem fiołkowym, które robi każdej wiosny.

– Zły sen? – Włącza kuchenkę i stawia czajnik na palniku.

– Mhm – mruczę i wślizguję się na krzesło za stołem.

Sięga do szafki kuchennej i wyciąga z niej brązowy kubek. Stoi do mnie plecami; nieruchomieje, trzymając w dłoniach to stare, wyszczerbione naczynie, które zrobiła lata temu. Ulubiony kubek mojego taty. Od jego wyprowadzki minęło kilka miesięcy. Powinnam była już do tego przywyknąć, ale to wszystko stało się tak szybko, że widok jego rzeczy nadal zbija mnie z tropu, zupełnie jakby były jakimś przebłyskiem innego życia.

– Od ostatniego trochę minęło, co? – pyta mnie mama, wymieniając brązowy kubek na zielony.

– Całkiem sporo. – Nie. Niemal każdej nocy miewam te sny, po których budzę się, nie mogąc złapać oddechu. Opieram łokcie o stół i przejeżdżam palcem po jego zniszczonej powierzchni. – Dalia wpadła dziś do restauracji. Wróciła do domu na festiwal.

– Ach. – Mama porzuca swoje zajęcie, odwraca się w moją stronę i opiera o blat. Czuję, że się na mnie patrzy, ale nie podnoszę wzroku. – Chce porozmawiać.

– Może to dobry pomysł – odpowiada łagodnie. – Wiem, że wolałabyś o tym wszystkim zapomnieć, ale mogłaby ci pomóc rozmowa z kimś, kto był tam tamtej nocy...

– Przestań, mamó! – Unoszę głowę, wbijam dłonie w stół i napotykam wzrokiem jej zaskoczoną minę. – Jej słowa nie zmieniają tego, co się stało. Co dobrego mogłoby wyniknąć z faktu, że przypomnę sobie najgorszy dzień w moim życiu?

– Nie chcę naciskać, kochanie, ale zauważyłam, że odsunęłaś się od ludzi. – Czajnik zaczyna gwizdać, więc mama odwraca się, by zdjąć go z palnika. – Po prostu się martwię, to wszystko.

– Przepraszam. – Chowam głowę w dłoniach i robię wydech. – Po prostu chciałabym... – Milknę. Jest tyle rzeczy, które chciałabym zmienić, że nawet nie wiem, od czego zacząć. Powieki mam ciężkie, lecz za każdym razem, gdy je zamykam, znów jestem w lesie. Biegnę spanikowana. Zagubiona.

Gdy następnego dnia wczesnym rankiem ekipa poszukiwawcza znalazła mnie zaledwie kilka kroków od

miejsca, w którym zniknęłam poprzedniej nocy, miałam wstrząśnienie mózgu i nie pamiętałam, co się wydarzyło. W oficjalnym raporcie stwierdzono, że upadłam – w górach nie brakuje zagrożeń – a później zdezorientowana zabłądziłam w ciemności. To jednak nie wyjaśnia moich koszmarów. Nie wyjaśnia, dlaczego przyspiesza mi tętno, gdy po ścianach mojej sypialni przebiegają cienie gałęzi oświetlanych blaskiem księżyca, ani dlaczego mój żołądek przeszywa fala lodowatego przerażenia za każdym razem, gdy tylko zbyt blisko zbliżę się do lasu.

Może nasze ciała też mają wspomnienia, zapisane w kościach, wplecione między ścięgna, ukryte pod skórą. Przejeżdżam palcami po bliźnie na szyi – to jedyna namacalna pamiątka po tych wydarzeniach. Blizna i poczucie winy, które ciąży mi na klatce piersiowej.

– Chciałabym, żeby to wszystko się nie wydarzyło – szepczę.

Byłam lekkomyślna i głupia na wiele sposobów i teraz wszyscy wokół mnie muszą za to płacić. Przede wszystkim mama. Jeszcze długo po tych wydarzeniach nie spuszczała mnie z oczu. Tygodniami spała na podłodze przy moim łóżku i we śnie upewniała się, że jestem obok. Nawet teraz czasem późną nocą zagląda do mojego pokoju. Chyba nie tylko mnie nawiedzają kosmary.

Mama sięga po słoik ze specjalną herbatką babci ułatwiającą zasypianie, który stoi nad kuchenką. Przygotowuje napar w milczeniu, a później podsuwa mi kubek, głaszcząc mnie po plecach.

– Tilio, powinnaś rozważyć rozmowę z Dalią nie z powodu tamtej nocy, ale z powodu wszystkich, które były przed nią. To tylko jedna strona znacznie dłuższej historii.

Obejmuję kubek dłońmi i przeżykam emocje, które teraz we mnie buzują.

– Wiesz, dlaczego nazwałam cię Tilia? – pyta mnie mama. Kiwam głową, bo to wyświechtana już opowieść, ale ona ciągnie dalej: – Tilia, czyli lipa, słynie z wyjątkowej mocy. Zapewnia ochronę, przynosi miłość i pomyślność. Wybrałam to imię, by pobłogosławić cię tymi samymi cechami. I masz je, Tilio. Nie ma nikogo takiego jak ty. I nie ma nic złego w byciu dokładnie i całkowicie tym, kim jesteś.

Przed powrotem do łóżka mama jeszcze raz ściska mnie za ramię. Być może w to wierzy, ale w miasteczku jest mnóstwo ludzi, którzy by się z tym nie zgodzili. Przyciągam kubek bliżej i wpatruję się w różowawy płyn, który parując, zwilża mi policzki.

Kiedy podnoszę naczynie, by upić łyk, ośmielałam się mieć nadzieję, że skoro nie mogę sprawić, by to odeszło, być może jestem w stanie jakoś wynagrodzić to tym, których skrzywdziłam.



Gdy zza szczytów gór wynurza się pierwsza pomarańczowa poświata, porzucam pomysł zaśnięcia. Polubiłam wczesne poranki. Ostatnio to jedyny czas, kiedy nie

czuję się jak w saunie. Nawet teraz, mimo że słońce za-
ledwie muska wzgórze, poranna rosa na trawie zaczyna
parować.

Jedną ręką otwieram drzwi z moskitierą, a drugą wcis-
kam na nogi zużyte adidas, których nie pofatygowa-
łam się rozwiązać. Zaraz potem potykam się i o mały
włos nie upadam na tylnych schodach ganku.

Ten pełen zakamarków, stary dom od pokoleń za-
mieszkiwały kobiety z rodziny Jamesów. Do drewnia-
nej konstrukcji, pozostałości po oryginalnej osiem-
nastowiecznej chacie z bali, po jakimś czasie dodano
kamienne skrzydło. Można więc powiedzieć, że farma
Bittersweet rosła w miarę powiększania się rodziny. Po-
dobno pnące bittersweet*, które okala naszą ziemię,
porosło cały płot bez niczyjej pomocy. Właśnie od nie-
go farma wzięła swoją nazwę.

W tym miejscu zawsze było coś zagadkowego. Ko-
biety z rodziny Jamesów spowijała jakaś mgła osobli-
wości, która trzymała wszystkich na dystans. Stara
opowieść głosi, że jeszcze gdy na Caball Hollow skła-
dało się zaledwie kilka sąsiadujących ze sobą domostw,
pierwsza kobieta o tym nazwisku wynurzyła się z lasu
zupełnie sama. Mówi się, że była dość dziwaczna i po-
zostawała na uboczu, chociaż w Wirginii Zachodniej
nie było to nic niezwykłego. Miała jednak wyjątkowy
dar uprawiania wszelkiej roślinności, nawet na najbar-
dziej niesprzyjającej glebie.

* Chodzi o *Celastrus scandens*, dławisz amerykański.

Nie wiem, czy cokolwiek z tego jest prawdą. Wiem natomiast, że kobiety z naszej rodziny rodzą się z niezwykłymi zdolnościami. Rosa, prawdziwy nocny marek, umie zauroczyć pszczoły tak, by robiły miód, który ugruntuje każdą obietnicę i umocni każde zakłęcie. Aster, zdolna przemówić do rozsądku niemal każdemu, wyczuwa kłamstwo w oddechu rozmówcy. Iris natomiast potrafi wejrzeć do tamtego świata, tak jak kiedyś prababcia Sudie.

Ale o naszych zdolnościach rozmawiamy wyłącznie w gronie rodzinnym. Ludzie boją się tego, czego nie rozumieją, a strach może sprawić, że staną się niebezpieczni. Na przestrzeni pokoleń przekonaliśmy się o tym boleśnie. Przypominają nam o tym ślady po ogniu na ścianach starej chaty.

Gdy udaje mi się wreszcie poprawić buty, zaczynam maszerować piaskową ścieżką, która prowadzi z tylnego ganku do stodoły. Kiedy byłyśmy małe, w lecie nigdy nie nosiłyśmy butów. Miałyśmy zahartowane stopy; boso ścigałyśmy się po kępach palusznika i biegałyśmy po kamienistych górskich ścieżkach w poszukiwaniu raków w strumieniach za farmą lub ogrzanych słońcem dzikich malin. Na strychu w stodole wskakiwałyśmy na linę i rozhuśtane puszczałyśmy się nad stertą świeżych trocin do wyściełania boksów dla zwierząt. Tak było do czasu, aż któregoś razu Aster próbowała zrobić salto w powietrzu, ale nie trafiła w stos i prawie złamała rękę. Mamy szczęście, że nie poskręcałyśmy karków.

Dzisiaj omijam drabinę na strych i wyciągam stary rower, którego kolor wypłowił do nakrapianego różu niedojrzałej truskawki. Był używany, zanim dostała go Rosa, później przeszedł w ręce Aster, a teraz ja dzielę go z Iris. Rosa i Aster mogą już prowadzić samochód, więc nie jest im zbytnio potrzebny, a ja nie mam jeszcze prawa jazdy, mimo że już od ponad roku mogłabym je zrobić.

Gdy wyprowadzam rower ze stodoły, nagle gruda ziemi przelatuje mi obok głowy i uderza w ścianę za mną.

– Skoro tak trudno ci powiedzieć prawdę, przynajmniej nie psuj mi śniadania kłamstwami – wrzeszczy Aster zza skrzynki na kwiaty stojącej na ganku. Jedną rękę ma brudną od ziemi, a drugą wskazuje na osłupiałego Hadriana Fitcha, który stoi przy bramie zagrody dla owiec.

Hadrian to samotny mężczyzna, który kiedyś zawitał do miasteczka w poszukiwaniu pracy. Na farmie Bittersweet pojawił się w samą porę na zeszłoroczne żniwa, z lustrzanymi awiatorkami na nosie, w dżinsach z dziurami na obu kolanach i futerałem na skrzypce pod pachą.

Zupełnie nie wygląda jak typowy rolnik. Czarne tatuaże ciągną się mu wzdłuż rąk, dłoni i palców, a nawet wypełniają spod kołnierza i biegną w górę szyi, gdzie nikną w stale goszczącym na jego twarzy zaroście, który prowadzi do niesfornej kępy ciemnych włosów.

Powiedział nam, że szuka swojego brata, który został bez środków do życia. Musiał jednak przerwać poszukiwania, ponieważ w okolicach Rawbone skończyły mu się pieniądze. Aster nie potrzebowała wiele czasu, by ogłosić go kłamcą, ale jest milion powodów, dla których ludzie kłamią. Nie wszystkie są złe, chociaż dla niej wszystkie kłamstwa pachną tak samo. My desperacko potrzebowaliśmy pomocy, a on był gotów pracować za niewiele więcej niż pokój i wyżywienie oraz swobodę w podejmowaniu dodatkowych prac w okolicy. Okazało się, że jest pracowity i małomówny, więc babcia zapewne nigdy go nie zwolni, niezależnie od protestów Aster.

– O co ci teraz chodzi? – Hadrian unosi ciemną brew.

– Powiedziałeś babci, że potrzebujesz furgonetki, żeby pojechać po paszę – cedzi Aster przez zaciśnięte zęby. Ciska kolejną grudą w kierunku głowy Hadriana, ale pudłuje, a ziemia tylko okrasza jego włosy. Aster schodzi po schodach ganku. – Ale obydwójce wiemy, że to nieprawda. Więc dokąd jedziesz tak naprawdę?

– Przestań, Aster. – Zostawiam rower i podchodzę bliżej, żeby ją uspokoić. – Wiesz, co mówi babcia – zniżam głos, chwytając ją za nadgarstek.

Zerka na mnie błędnymi nadal oczyma, ale nim wypowiada jakiekolwiek słowo, przerywa jej czyjś głos.

– Aster Persefono – wykrzykuje babcia ze schodów ganku. – Mówiłam ci, żebyś zostawiła tego chłopca w spokoju i pozwoliła mu pracować. Chodź tu. Mam dla ciebie zajęcie.

Aster wydaje z siebie lekkie warknięcie frustracji i posyła Hadrianowi groźne spojrzenie.

– Jeszcze nie skończyliśmy – grozi mu ściszone gło-
sem, a potem odwraca się, by z powrotem wejść na
ganek. Wyciera ręce w dżinsy, gotowa podjąć się zada-
nia, które z pewnością nie będzie przyjemne.

– Nigdy nie skończymy. – Zza pleców dochodzi mniej
cichy głos Hadriana.

Zerkam przez ramię, ale już go tam nie ma. Za to
na podjeździe stoi jakaś kobieta w czarnych butach
i kurtce motocyklowej. Sam widok tego stroju sprawia,
że zaczynam się pocić, ale ona zdaje się tym w ogóle
nie przejmować. Zarzuca do tyłu długie, ciemne włosy
i ściąga okulary przeciwsłoneczne, które odkrywają jej
błyszczące oczy w kolorze palonego drewna, ozdobione
perfekcyjnie narysowaną kreską. Uśmiech niespiesznie
przebiega po jej wiśniowych ustach, które przywodzą
mi na myśl słodki i klejący syrop z sorgo.

Z ganku dobiega pełne rozbawienia prychnięcie.
Spoglądam w tamtym kierunku i widzę babcię, która
przytrzymuje otwarte drzwi.

– Wielkie nieba, szykują się kłopoty. Huragan Salo-
me zawitał do miasta.

– Cześć, mamciu. Tęskniłaś? – Ciocia Salome zmie-
rza w stronę domu, jednak zatrzymuje się naprzeciw
mnie i kładzie mi na ramionach wyprostowane w łok-
ciach ręce. – Moja mała, słodka Tilia. Aleś wyrosła, gdy
mnie nie było.

– Nie przegapiłabyś tyle, gdybyś częściej bywała w domu – beszta ją babcia.

Caball Hollow nigdy nie było wystarczająco duże dla takiej powsinogi jak Sissy. Ciocia więc wyjechała stąd, gdy tylko nadarzyła się okazja. Bywała tu i tam, ale zawsze wracała do naszej małej miejsciny. Prowadzi tu tylko jedna kręta szosa, a do tego kilka razy do roku rozmywa ją deszcz. Caball Hollow leży na takim uboczu, że elektryczność dotarła tu ponoć dopiero, gdy babcia była w czwartej klasie podstawówki.

Minął prawie rok, od kiedy Salome pędem wróciła do domu na wieść o moim zaginięciu. To najdłuższa przerwa w wizytach ciotki, jaką pamiętam, chociaż mama i babcia twierdzą, że bywały i dłuższe.

– Witaj w domu, ciociu Sissy – rzucam głosem przepełnionym emocjami. W Caball Hollow naprawdę cenimy sobie ksywki. To skróty do naszej historii, zdolne przenieść nas do innych czasów.

Ciocia nachyliła się, by dać mi szybkiego całusa w policzek. Dostrzegam, jak na ułamek sekundy traci cały swój blask. Jej beztroski uśmiech ustępuje miejsca zmarszczce między brwiami, a ja czuję, jak oleisty smak sardynek pokrywa mi język. Poczucie winy. Przez chwilę nie jestem pewna, czy należy do niej, czy do mnie. Zaraz potem jednak zalewa mnie fala wstydu.

Gdy babcia dociera do Sissy, by ją uściskać, wycofuję się i w pośpiechu podnoszę rower; chcę być gdziekolwiek, tylko nie tutaj.

– Lepiej pojadę do restauracji, bo inaczej mama dobierze mi się do skóry – wykrzykuję i staję na pedałach, by wjechać na wzgórze. Kiedy wyjeżdżam na piaskową drogę, nie oglądam się już za siebie.

Najkrótsza droga z farmy Bittersweet do Harvest Moon prowadzi bezpośrednio przy cmentarzu w Caball Hollow. Za czasów naszych szalonych zabaw w stodołę Aster powtarzała nam, że jeśli przejeżdżając tędy, nie wstrzymamy oddechu, duchy skradną nam tchnienie i życie. Gdy nieco później babcia dowiedziała się o tej teorii, wyjaśniła nam, że to kompletna bzdura. Właściwie dlaczego duchy miałyby kręcić się akurat po cmentarzu?

Jednak czasami w dni takie jak ten – tuż przed przesileniem, kiedy powietrze jest gęste i duszne – wciąż zdarza mi się zaczerpnąć porządny haust i wstrzymać oddech, tak na wszelki wypadek. Pędzę obok cmentarza najszybciej, jak potrafię, wtem brudny biały pick-up wyjeżdża z bramy bez zatrzymania i omal nie sprawia, że sama potrzebuję kwatery.

Odbijam w prawo i z całej siły wciskam hamulce. Tracę panowanie nad kierownicą i zeskakuję na moment przed tym, jak rower uderza o jedną z ozdobnych grusz, które rosną przy ulicy.

Podnoszę się z ziemi i wykopuję syпки żwir w kierunku pędzącej furgonetki, a potem schylam się, by podnieść rower. Czuję, jak piecze mnie skóra na łokciu. Gdy badam swoje obrażenia, w oczy rzuca mi się jakiś

obiekt znajdujący się niedaleko rzeki w cieniu dużego ambrowca. Tuż za rodzinnym grobowcem Spencerów nad świeżo otwartym grobem widać koparkę.

Przez nieruchome poranne powietrze przebija się piaszczysty zapach spieczonej słońcem ziemi. Obok maszyny uroczyście czekają dwaj mężczyźni w kombi-
nezonach. Jeden z nich ma w rękach łopatę, drugi natomiast kurczowo trzyma przed sobą kapelusz. Moją uwagę przykuwa jednak ktoś, kto stoi bliżej grobu. Jest skulony, a jego rozczochrane włosy wyglądają, jakby właśnie zmierzwiał je palcami. Ma na sobie garnitur, za ciasny w pasie, sprany i pogryziony przez mole. Pewnie od lat go nie nosił. Z kieszeni wygrzebuje chusteczkę i przysuwa ją sobie do twarzy. Trzęsą mu się ramiona, ale nie wydaje z siebie żadnego dźwięku.

Obserwuję, jak mężczyzna rzuca w dół garść ziemi. Dźwięk przypominający grzechotanie cykad albo trzeszczenie linii wysokiego napięcia przeszywa powietrze i przebiega mi po kręgosłupie. Nie powinnam naruszać jego prywatności, ale coś w środku każe mi podejść bliżej. Z każdym krokiem mężczyzna wygląda coraz bardziej znajomo i w końcu orientuję się, że to on przyszedł do nas zeszłej nocy.

Jest w tym coś osobliwego. Na jakim pogrzebie zjawia się tylko jeden żałobnik? I dlaczego ceremonia nastąpiła tak szybko? Kiedy dochodzę do grobowca, usta wypełnia mi smak marynowanych buraków mamy i orientuję się, że pozwoliłam ciekawości wygrać ze zdrowym

rozsądkiem. Niestłumienie mojej zdolności było wyjątkowo głupim błędem, biorąc pod uwagę dzisiejszą sytuację z ciocią Sissy. A tym razem jest dużo gorzej. Smaki zaczynają mnie przytłaczać, więc próbuję zebrać się w sobie. Każdy zauważyłby, że mężczyzna jest zrozpaczony, ale to nie wszystko – wyczuwam oleisty i słony posmak pocucia wina, octową nutę gniewu i gryzącą woń desperacji.

Wejrzenie w najgłębiej skrywane emocje tego mężczyzny w takiej chwili sprawia, że przewraca mi się w żołądku. To jak podsłuchiwanie prywatnej rozmowy albo czytanie cudzego pamiętnika. To niewłaściwe dowiadywać się takich rzeczy o człowieku bez jego pozwolenia. Robię krok w tył, odsuwam się od ogromu jego emocji, próbując stłumić własne łzy, a potem tak cicho, jak tylko potrafię, wracam po rower. Dopiero w połowie drogi do Harvest Moon orientuję się, że nie wstrzymałam oddechu.



ROZDZIAŁ TRZECI

Dzisiaj mija dokładnie rok od dnia, w którym zaginęłam. Do momentu, kiedy mama wywiesiła na drzwiach restauracji tabliczkę z napisem ZAMKNIĘTE, zdążyłam już wykończyć swój dezodorant i zupełnie zszargać sobie nerwy. Szepty i ciekawskie spojrzenia, które klienci rzucali mi przez cały dzień, dowodzą jedynie, że nikt nie zapomniał o wydarzeniach z zeszłego lata. Praca jednak nawet nie chyli się ku końcowi. W Caball Hollow to najważniejsza noc w roku.

Festiwal Ciem to święto zrodzone po części z najdawniejszych obaw mieszkańców miasteczka. Legendę o człowieku-ćmie opowiada się przy ogniskach i szepcze dzieciom na dobranoc. To historia, w której nie brakuje skrzypiącej na ganku huśtawki ani kapiącego na metalowy dach deszczu, choć pierwsze skrzypce zawsze gra w niej tajemnicza istota, która nawiedza las i tuła się przy świetle księżyca. Istota, której widok niechybnie zwiastuje śmierć.

Festiwal jest tak stary, że nikt nie pamięta dokładnie, jak to się wszystko zaczęło, ale zawsze odbywa się podczas przesilenia letniego, czyli w dzień, kiedy słońce świeci najdłużej. Być może ta data to swego rodzaju środek ostrożności, który ma uniemożliwić spotkanie z grasującym w ciemności człowiekiem-ćmą. A może chodzi o coś innego? Stare prawdy głoszą, że przesilenie to moment przełomowy, czas pomiędzy czasami, przeskok, po którym długie dni stają się coraz krótsze. To okres, kiedy magia ciąży w powietrzu i kiedy zaciera się granica między światem znanym a nieznanym.

Według legendy białe ćmy latające w noc przesilenia to duchy naszych bliskich, które pojawiają się, by nas pozdrowić. Jest taka stara rymowanka, której wszyscy uczą się tu w dzieciństwie: *Ćma w bieli – twoi bliscy nadlecieli; ćma w szkarłacie – uciec śmierci nie zdołacie*. Czasami stwór wlatuje przez otwarte okno jako czerwona ćma. Siada wtedy na osobie, którą ma zabrać śmierć. Kiedy indziej, co znacznie gorsze, przychodzi pod postacią człowieka ze skrzydłami ćmy, ostrzegając przed gwałtowną i tragiczną śmiercią. Może właśnie dlatego wciąż obchodzimy to święto. Rok po roku składamy ofiarę mściwemu bogu.

Nim zdążę pójść za innymi w kierunku tylnych drzwi Harvest Moon, mama łapie mnie za rękę. Gdy na nią spoglądam i widzę jej zaciśnięte usta, wiem już, co powie.

– Jeśli chcesz, możesz wrócić do domu. Nie musisz pomagać przy festiwalu. Wszyscy zrozumieją.

Patrzę na nią posępnie. Ludzie zauważą moją nieobecność i będą się nade mną użalać. Właśnie tego chcę dzisiaj uniknąć.

– Nie, chcę iść. Porozmawiam z Dalią tak, jak mi radziłaś.

Jeszcze przez chwilę bada mnie wzrokiem. Wystarczająco długo, bym zaczęła się martwić, że będzie nalegać na powrót do domu, gdzie jest bezpiecznie. W końcu ściska mnie za rękę.

– Skoro jesteś pewna.

Nasze festiwalowe stoisko znajduje się w centrum miasteczka. To niewielki, biały namiot rozłożony nad składanymi stołami przykrytymi białym obrusem. Nad wejściem widnieje girlanda z cedrowych i eukaliptusowych gałązek, która ma za zadanie odstraszać owady. To jedno z wielu stoisk ustawionych w rzędzie po bokach ulicy. Zawieszone między nimi kawiarniane lampki prowadzą do sceny, na której wieczorem zagra kilka przeciętnych lokalnych zespołów.

– Przepraszam, gdzie są toi toie? – pyta mężczyzna z wciśniętą na głowę opaską, na której dyndają ogromne, włochate czułki ćmy. Wskazuję mu szkolny parking na drugim końcu miasteczka.

Ze względu na swój rozmiar Caball Hollow nie przyciąga zwykle zbyt wielu turystów, ale ci, którzy przyjeżdżają, zjawiają się właśnie tego wieczoru. Wszystko przez to, że dwadzieścia lat temu wieść o pojawieniu się człowieka-ćmy obiegła lokalne media i najstarszy

postrach okolicznych mieszkańców rozszławił nasze miasteczko. Legenda wciąż fascynuje tych, którzy chcą wierzyć, że poza codziennością jest coś jeszcze. Chociaż gdyby dzisiaj ktoś stwierdził, że widział człowieka-ćmę, najpewniej zostałby wyśmiany; równie dobrze mógłby ogłosić, że natknął się na Wielką Stopę.

Za sceną, gdzie samotna droga prowadząca do Ca-ball Hollow kończy się ślepym zaułkiem, znajduje się las narodowy.

Ale nie tylko tam. Zajmuje obszar niemal miliona akrów, otacza nas i napiera z każdej strony, jak polująca na zwierzynę bestia. Łańcuch Appalachów ciągnie się wzdłuż jej kręgosłupa. Mięśnie i ścięgna tworzą skalne szczeliny, strome przełęcze, gęstwiny drzew i zwarte zarośla. W samym środku zaś bije jej tajemne serce, potężne i nieodkryte.

Ponoć to właśnie tam, głęboko w ukryciu, mieszka człowiek-ćma. Gdy byłyśmy małe, przerażały mnie opowieści o tym potworze, Aster za to była nimi zafascynowana. Może niektórzy z nas mają wrodzony pociąg do tego, co nieznane, boją się czegoś i jednocześnie tego pożądamy. Cały czas się ze mną droczyła. Chowalała martwe ćmy pod moją poduszką, przejeżdżała mi po skórze żdźbłem trawy, imitując muśnięcie skrzydełkami, i nieustannie kładła mi do głowy upiorne historie, dopóki nie pobiegłam z płaczem do mamy.

Spoglądam teraz na Aster i widzę, jak obserwuje mnie ze zmarszczonymi brwiami.

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie
rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej
przez Wydawnictwo Zielona Sowa.
Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji
bez pisemnej zgody Wydawnictwa Zielona Sowa.

Serdecznie dziękujemy za pobranie fragmentu książki!
Mamy nadzieję, iż przypadł Państwu do gustu!
Już dziś zapraszamy do zakupu książki w naszym sklepie
www.zielonasowa.pl